ROK IV KWIECIEŃ 1932 NR. 4

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

W jaki sposób powstało państwo Jugosłowiańskie?

Trzecie zkolei pod względem obszaru państwo słowiańskie, Jugosławja, powstało przed laty trzynastu przez oficjalną proklamację zjednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez Serbów, Chorwatów i Słowieńców. Powstanie było więc wynikiem tych samych dążności, które stworzyły dzisiejsze Państwo Polskie i Republikę Czechosłowacką. Do IX wieku byli Słowianie południowi podzieleni na drobne plemiona. Z początkiem IX wieku zorganizowali się pod rządami posawskiego księcia Ljudewita w państwo sięgające od Tryglawu po Dunaj i od Zagroje po Morawę[1]). Wzrastająca jednak siła Cesarstwa Bizantyńskiego i Królestwa Frankońskiego, oraz ciągłe najazdy Madziarów rozbiły Księstwo Posawskie, rozdzierając jedność Słowian połudn. na jedenaście wieków. Miejsce jednego państwa zajęły liczne drobne państewka, z których do większego znaczenia doszły Chorwackie i Serbskie. Z końcem XI wieku Chorwacja popadła w zależność od Węgier, wraz z któremi weszła w skład monarchji austrjackiej. Serbja zaś, po okresie świetności za panowania Stefana Duszana (1331 — 1355), dostała się częściowo w 1389 r. po bitwie na Kosowem polu, ostatecznie zaś w 1459 r. pod panowanie tureckie. W XIX. wieku budzić się zaczyna wśród Chorwatów i Serbów ruch narodowy, zwany illyryzmem, podjęty dla zjednoczenia wszystkich Słowian południowych. Uciskani przez Turków Serbowie organizują powstania. Chorwaci, domagając się samorządu, występują zbrojnie przeciw Węgrom. W r. 1868 na mocy ugody węgiersko-chorwackiej Chorwacja i Sławonja uzyskały w dualistycznej Monarchji Autsro-Węgierskiej szeroką autonomję. Po wojnie uniezależniły się od Turcji; Bośnia zaś i Hercogowina zostały oddane Austrji w zarząd wojskowy. W r. 1882 Serbja ogłosiła się królestwem, biorąc zaś w latach 1912 - 1913 udział w obu wojnach bałkańskich uzyskała większą część Macedonji. W latach poprzedzających wojnę światową wzmógł się ruch wielko - serbski, dążący do zjednoczenia wszystkich słowian południowych.

Zabójstwo arcyksięcia austrjackiego Ferdynanda w Serajewie z ręki studenta serbskiego wywołało wojną austrjacko-serbską, a ta światową. Po rozpadnięciu się monarchji Austro-Węgierskiej (1918) za wspólną zgodą Serbów, Chorwatów, Słowieńców i Czarnogórców nastąpiło zjednoczenie wszystkich krajów, zamieszkałych przez Słowian połudn. Nowy porządek europejski, opierający się na prawie samostanowienia narodów, uznał ich prawo do stworzenia jednolitego organizmu państwowego. Proklamowane 1-go grudnia 1918 r. państwo stało się uczestnikiem wszystkich doniosłych aktów międzynarodowych. Podpisało traktat wersalski z Niemcami, traktat w St. Germain en - Laye - z Austrją, w Trianon - z Węgrami, w Neuilly - sur Seine - z Bułgarją, przez co określone zostały jego granice[1]). Sytuacja młodego państwa z początku jego istnienia nie była łatwa, aczkolwiek zostało zaliczone pomiędzy „państwa zaprzyjaźnione i sprzymierzone"

---

[1]) Dopływ Dunaju.

[1]) Z wyjątkiem granicy z Włochami.

Ententy i jako takie weszło w skład Ligi Narodów. Nowoutworzone bowiem państwo objęło na obszarze 248.590 km.² następujące, w większym, lub mniejszym stopniu, odrębne terytorja Serbskie i Czarnogórskie, szereg krajów dawnej monarchji Austro-Węgierskiej, a więc: autonomiczne w ramach Węgier, Chorwację i Sławonję, kraje koronne Austrji: Dalmację i Krainę, połudn. Styrję, wschodnią Karyntję, zachodni Banat[2]), wreszcie, anektowane przez Austro-Węgry w roku 1908, Bośnię i Hercogowinę i, przyłączoną kosztem Bułgarji, część Macedonji. Połączone w jedną całość obszary pochodziły zatem aż z pięciu organizmów państwowych. Zetknęły się więc odmienne urządzenia administracyjne i odmienne stosunki prawne i finansowe.

Również i skład 12½ miljonowej dziś ludności nie był i nie jest jednolity. Obok Serbów, Chorwatów i Słowieńców, stanowiących 83% ludności jugosłowiańskiej, zamieszkują królestwo południowych Słowian Niemcy, Węgrzy, Turcy, Albańczycy, Słowacy, Czesi, Rumuni i inni. O ile językowo można uważać Serbów i Chorwatów za jeden naród, gdyż jednej istotnie używają mowy, to religijnie są oni rozdzieleni.

Serbowie w ogromnej większości są prawosławnymi, Chorwaci - katolikami, część zaś Serbo-chorwatów w Bośni i Hercegowinie wyznaje islam.

Powyższe dane są niezbędne dla zrozumienia pewnej powolności procesu wewnętrznego konsolidowania się państwa. Wśród istniejących między ludnością różnic za najważniejszą uważać należy podział na obszar wpływów cywilizacji zachodniej - łacińskiej i cywilizacji wschodniej - grecko - bizantyńskiej. Granica tych obszarów biegnie wzdłuż dawnej granicy między byłą monarchją Austro - Węgierską a Serbją i Czarnogórą i pokrywa się przeważnie z granicą wyznaniową między prawosławiem i katolicyzmem

Najważniejszem zagadnieniem młodego państwa było obranie typu prawno - politycznego ustroju. Gdy forma rządu została ustalona przez pierwszy gabinet Stojana Protic'a, jako dziedziczna monarchja konstytucyjna (grudzień 1918), pojawił się dylemat: pozostawienie dotychczas istniejących w części ziem samorządów krajowych i nadanie takiegoż samorządu reszcie obszarów, lub też scentralizowanie państwa .

Bieg wypadków doprowadził wkońcu przy uchwaleniu konstytucji do drugiego, centralistycznego rozwiązania. Przy wolno idącej unifikacji prawnej i wyrównaniu stosunków gospodarczych, dało to początek wielu zawikłaniom wewnętrznym, które w nader ostrej formie przejawiły się zwłaszcza w roku 1928. Oczywiście odegrały w tem rolę i istniejące różnice cywilizacyjne. Pierwsze zgromadzenie narodowe „skupstina", zwołane w marcu 1919 r., ustąpiło w listopadzie 1920 r. miejsca konstytuancie, która opracowała ogłoszoną w czerwcu 1921 r. konstytucję. Konstytucja ta, oparta na wzorach zachodnich, dawała państwu ustrój demokratycznej, konstytucyjnej monarchji dziedzicznej w dynatsji Karageorgiewiczów, panującej w Serbji od roku 1903. Z niej pochodzący bohaterski król Piotr I, zwany „Oslobodilac" (Oswobodziciel) zmarł niebawem. Nastąpił po nim syn jego, obecnie panujący król Aleksander I. Konstytucja 1921 r. wprowadzała jednoizbowy parlament z prawem wyborczem powszechnem: równem, tajnem i bezpośredniem. W roku 1922 dodatkowo wydano ustawę o podziale państwa na okręgi („oblasti"), przez co zatarto zupełnie istnienie dawnych samorządów.

Ścieranie się prądów centralistycznych i decentralistycznych, oraz odmienne interesy gospodarcze i różnice kulturalne, powodowały w młodem Państwie Jugosławiańskiem ustawiczne tarcia i zamieszki. Dzieło wewnętrznej konsolidacji napotykało na przeszkody w różności poglądów nietylko na to, jak państwo ma być urządzone: centralistycznie, czy w podziale na prowincje autonomiczne, ale i jak ma być rządzone. Mianowicie

---

[2]) Z Backa, Baranją i Srijem.

zarzucono rządowi, zwanemu przez opozycję rządem „hegemonji" serbskiej, faworyzowanie ekonomiczne Serbji na niekorzyść innych ziem, oraz nadawanie Serbom wyższych stanowisk w służbie państwowej. Na takiem tle rozwijała się walka polityczna między „serbjancami", zwolennikami dotychczasowych rządów i „precancami", żądającymi decentralizacji, zrównania ciężarów finansowych i szanowania swej odrębności kulturalnej.

Życie parlamentarne kraju wykazywało dzięki problemowi precanskiemu ostre zatargi, wychodziły one przeważnie od posiadających tradycję państwową Chorwatów.

Na czele opozycji chorwackiej stanął utalentowany przywódca ludowy Stefan Radic. Zrazu gorący republikanin Radic organizował stronnictwo chorwatów („H. S. S.") na podkładzie klasowym, chłopskim, i myślał o porozumieniu z Rosją Sowiecką. Przekonawszy się o bezwartościowości doktryny bolszewickiej, zbliżył się do rządu. Nie uzyskawszy atoli od niego pożądanych dla ziem precanskich korzyści rozpoczął na nowo walkę. W roku 1928, w skupstinie padły strzały nieodpowiedzialnej jednostki, której ofiarą padł Radic. Wypadki te spowodowały deklarację stronnictw opozycyjnych, domagającą się rozwiązania sejmu, rewizji konstytucji i autonomji dla ziem precanskich. Wobec zaostrzającej się z dnia na dzień sytuacji, po dymisji gabinetu Koroseca w styczniu 1929 r., rozwiązano parlament i ogłoszono dyktaturę królewską. Ten stan trwał aż do dnia 3. IX. 1931 r., w którym to dniu na mocy dekretu królewskiego wprowadzono nową konstytucję, zachowującą tron dziedziczny w dynastji Karageorgicwiczów. Konstytucja wprowadza parlament dwuizbowy, składający się z sejmu i senatu. Czynne prawo wyborcze przysługuje wszystkim obywatelom z ukończonym 21 rokiem życia. Połowę senatorów mianuje król, połowę wybiera naród. Senatorem wybrany być może każdy obywatel, który przekroczył 40 rok życia. Konstytucja gwarantuje całkowitą wolność prasy i sumienia. Kraj podzielony zostaje na 9 prowincyj, z których każda otrzymuje szeroką autonomję. Językami urzędowemi są: chorwacki, serbski i słoweński.

Mimo wstrząsów politycznych, przez jakie przeszło młode Państwo Jugosłowiańskie, dobrobyt tego kraju stale wzrasta i podnosi się stan kulturalny. Nad całością rozwoju nauki i sztuki czuwa Królewska Akademja Nauk w Białogrodzie i Akademja Jugosłowiańska w Zagrzebiu. Oświatę wśród ludu szerzą specjalne instytucje: „Macierz Szkolna" i towarzystwo etyczno-oświatowe „Vidovica" (w Serajewie).

W polityce zagranicznej Jugosławja ma już ustaloną linję. Opiera swój byt na istniejących traktatach pokojowych i prowadzi politykę wybitnie pokojową w kierunku zachowania tych traktatów.

Należy więc z Czechosłowacją i Rumunją do mającej właśnie ten cel Małej Ententy.

Stosunki Jugosławji z Włochami napotykają na pewne konflikty na tle ekspansji włoskiej w kierunku Dalmacji i Albanji. Również dobre oficjalnie stosunki z Bułgarją psuje ciągłe rozognienie kwestji macedońskiej[1]).

Z Polską mimo odległości geograficznej łączy Jugosławję szereg zagadnień ogólniejszej natury. Należy do nich wspólne stanowisko wobec licznych problemów międzynarodowych chwili obecnej, czy to w sprawie utrzymania traktatów pokojowych, czy w sprawie mniejszości narodowych, w której na terenie Ligi Narodów Jugosławja niejednokrotnie występowała razem z Polską. Związek zaś Jugosławji z przymierzeńcem Polski - Francją jest regulatorem jej polityki międzynarodowej.

A. Hłasko Pawlicowa.

Belgrad 1932.

---

[1]) Po wojnie światowej wielu Bułgarów dobrowolnie emigruje z Macedonji, szukając schronienia w państwie bułgarskiem.

Wspomnienia kresowianki.*)

Okupacja niemiecka miała się ku końcowi.

Nadeszła późna jesień. Wtedy właśnie zaczęły krążyć jakieś niepokojące wieści. Nazwisko „Foch" podawano z ust do ust; z niem się łączyły nazwy „Verdun" i „Marna". Te wieści były jakieś niesamowite, niezupełnie zrozumiałe, wprost nie można było uwierzyć, że Niemcy przegrywają, tak silna była ich organizacja w okupowanych ziemiach.

A jednak wszystko to było prawdą.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie listopada przyjechał do nas oficer niemiecki z zawiadomieniem, że ich oddział, stojący w gminie, wkrótce opuści swe stanowisko, gdyż Niemcy w całej okolicy będą powoli się wycofywać, aby powrócić do ojczyzny. Po ich wyjściu przyjdą bolszewicy, którzy zajmą tę całą połać kraju t. z. Witebszczyznę, Mińszczyznę i może nawet Wileńszczyznę, w co wiele osób nie wierzyło i uciekało od bolszewików do Wilna, gdzie, jak wiemy, uciekinierzy dostali się pod rządy boleszewickie.

Nie było czasu do stracenia. Trzeba się było decydować: zostać na wsi, w naszym dworku, czy wyjechać do Mińska, gdzie stryj miał mieszkanie.

Nauczona gorzkiem doświadczeniem zdecydowałam nie zostawać na wsi. Kazałam Szymonowi wysłać do Mińska ziemniaków, warzywa i mąki, faskę masła, wędlinę i słoninę z jednego wieprza. Jak się potem dowiedziałam, to samo robiono po innych okolicznych dworach.

Babka nie zdawała sobie sprawy z tego, co nas oczekuje. Przedwcześnie nie chciałam jej mówić o wyjeździe.

Nastrój tych ostatnich dni w naszem gnieździe rodzinnem był bardzo przygnębiający, denerwujący, tęskny... Pytanie „czy wrócimy?" co chwila wracało i powtarzało się bez końca.

„Trzeba wyjeżdżać; — trzeba wyjeżdżać", mówiłam sobie w myśli. To mi dodawało energji do pakowania potajemnie różnych rzeczy: bielizny, ubrania i t. p. Należało bardzo ostrożnie wykonywać te czynności, służbie bowiem nie dowierzałam. Obawiałam się rabunku przed wyjazdem.

Jeszcze trzy dni mieliśmy pozostać u siebie. Stryj był z nami, ale od chwili, gdy oficer niemiecki zawiadomił, że okupacja się kończy, wiedziałam, że nas opuści. Miał udać się za kordon, do Polski.

Wieczór. Podano kolację. Była to ostatnia, którą stryj z nami spożywał. Panowało przygnębiające milczenie. Nareszcie babka wstała i odeszła do swego pokoju. My, też wstaliśmy od stołu. Stryj teraz zaczął mówić. Dawał mi różne zlecenia i rady postępowania. Potem kazał zawołać, jak ja nazywam, triumwirat, to znaczy: Iwana — służącego, Marcina — furmana, Szymona — ekonoma. Przemawiał, tłumaczył, polecił

*) Patrz Nr. 11 r. 1931.

pilnować całego mienia, zapowiedział, że gdy powróci, zdadzą Mu rachunek ze swoich rządów. Wszyscy trzej przyrzekli dobrze gospodarzyć.

Nazajutrz zrana stryj odjeżdżał. Zabierał z sobą dwie walizki: w jednej była bielizna, w drugiej parę garniturów. To wszystko, co brał ze swej ojcowizny. Reszta zostawała na łaskę i niełaskę bolszewików.

Przed ganek zajechał Marcin. Zaprzągł najlepszą parę gniadych koni, które stryj tak lubił i cenił.

Ostatni uścisk pożegnalny i bryczka znalazła się za bramą.

Marcin odwiózł stryja na stację kolejową okólną drogą, żeby nie jechać przez wieś

— — — — — — — — — — — — — —

Nam zostały jeszcz dwa dni do wyjazdu. Snułam się po domu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. „Wyjeżdżamy, wyjeżdżamy, wyjeżdżamy", powtarzałam po tysiąc razy.

W nocy z Anną, kucharką, spakowałam wszystkie zapasy spiżarniane: powidła, konfitury, cukier, grzyby i t. p. W dzień pokryjomu spakowałam bieliznę do kosza. Wieczorem przywołałam Marcina i Szymona. Powiedziałam im, że jutro wyjeżdżamy. Kazałam, żeby konie zaszły między g. 4 a 5 zrana. Prosiłam, by o wyjeździe nikomu nie mówili.

Po ich odejściu raz jeszcze zajrzałam do wszystkich kątów, żegnając je.

Gdy w domu zaległa kompletna cisza, zapaliłam ogień na kominku, siadłam przed nim i zaczęłam palić fotografje, listy i różne drobnotski. Mieliśmy stosy fotografij. Niektóre z nich były mi bardzo drogie. Ogień musiał je jednak pochłonąć. Potem paliłam listy. Były między niemi jakieś, pisane do dziadka; były listy mojej matki, pisane do ojca, gdy był jeszcze jej narzeczonym, paliłam i listy, należące do mnie, a więc od koleżanek z pensji i od siostry, której już nie miałam nigdy zobaczyć.

Tych drogich pamiątek nie można było zabrać ze sobą bo w razie rewizji mogły nas one skompromitować w oczach bolszewików, po drugie nie można było ich zostawić, bo ze słyszenia wiedziałam, że bolszewicy, wchodząc do opuszczonego dworu, plują, depcą i wogóle znęcają się nad wyżej wymienionemi przedmiotami.

Nagle zegar wydzwonił 3-cią.

Przede mną na kominku leżała garstka drogich popiołów. Musiałam się oderwać od smutnych myśli, wrócić do rzeczywistości, iść budzić babkę i służbę, wszak za godzinę wyjeżdżamy.

Tak, — wyjeżdżamy.

— — — — — — — — — — — — — —

Służące są zdumione, ale posłusznie nastawiają samowar i wynoszą rzeczy.

Babunia narazie nie chciała uwierzyć, że trzeba opuścić rodzinne pie-

lesze. Musiałam Ją przekonywać. Wkrótce staruszka, która doskonale pamiętała powstanie styczniowe, zrozumiała, że musimy wyjechać.

O umówionej godzinie konie zaszły. Pożegnanie z wierną służbą było rozrzewniające, ale trwało krótko, nagliłam bowiem do wyjazdu. Chciałam przejechać przez wieś tak, żeby nikt nas nie spotsrzegł. Obawiałam się, żeby nas nie zatrzymono, nie zabrano koni i rzeczy: były to przecież resztki mienia, jakie wiozłyśmy ze sobą.

Konie ruszyły.

Babunia czyni znak krzyża świętego i odmawia „Pod Twoją Obronę“, ja czuję jakieś przygnębienie, jakąś pustkę w duszy. Ani jedna łza nie zakręciła mi się w oczach.

Mijamy aleję, sadzoną ręką pradziada i wjeżdżamy do wsi. „Boże, żeby nas nie zatrzymano, żebyśmy szczęśliwie wieś przejechali!“

Prośby nasze zostały wysłuchane. Na drodze we wsi nikogo nie spotkaliśmy, chociaż gospodarze już nie spali, widziałam bowiem światła w oknach

Nareszcie jesteśmy już za wsią.

Jedziemy do Mińska. A co nas tam czeka?

Wiemy, cośmy opuścić musieli, nie wiemy do czego dążymy.

Kresowianka.

Attyla.

Inżynier francuski Bauplan, pracujący w Polsce w XVII w., znajduje w niektórych zwyczajach kozaków pozostałości po Hunnach. „Gdy koń nie nadaje się do pracy, zabijają go, krajają mięso płatami i umieszczają pod siodłem swego wierzchowca. Po kilku godzinach wydostają je, osmarowują pianą rumaka, którą zgarniają dłonią, i zajadają jak tuczoną pieczeń“. Historyk rzymski z IV w, Ammianus Marcelinus powiada, że nie znają żadnych przypraw i nie używają ognia. „Żywią się korzeniami i mięsem, które gniotą swem ciałem na karku konia. Noszą koszule niesłychanie brudne, których nie piorą. Bielizna ta gnije na ich ciele i rozpada się na kawały. Nie opuszczają konia podczas snu i przyjmowania pokarmu, konno też odbywają swe narady. Chodzą marnie na wykrzywionych nogach i jako piechurzy walczą nieudolnie. Miejsc obronnych zdobywać nie umieją, lecz strzelają znakomicie i chwytają wroga za pomocą długiego lasso“.

Rzymianie ocenili ich zdolności i przyjmowali do wojska. Wódz Rua został mianowany rzymskim generałem i otrzymał 350 funtów złota. Attyla rozpoczął swą karjerę również w armji cesarstwa. Zdołał zorganizować pod swą władzą nawet plemiona germańskie i stać się najgroźniejszym przeciwnikiem Rzymu. W roku 441 z Konstantynapola wyprawiono do niego poselstwo, któregi przygody opisuje Priscus w ten sposób: „Liczni posłowie nasi już w pobliżu stolicy ujrzeli miasta w ruinach. Resztki mieszkańców znalazły

schronisko w kościołach mocno uszkodzonych. Nieco dalej przebyto dolinę pełną kości ludzkich, pozostałych po bitwie. Tak wyglądał kraj aż do Dunaju. Bieg tej rzeki był okryty mnóstwem łodzi drążonych. Hunnowie ścinają najgrubsze drzewa, drążą je i używają jako łodzi. Po dwu dniach podróży na północ od Dunaju Rzymianie ujrzeli olbrzymi obóz z namiotów. Gdy chcieli rozlokować się na wzgórzu, nadbiegli Hunnowie i zakazali im tego, mówiąc: „Czyż nie widzicie, że nasz król ma namiot poniżej, w dolinie?“ Wśród członków poselstwa powstały kłótnie. Jeden zdrajca udał się sam do Attyli i wtajemniczył go w treść instrukcyj cesarskich. Attyla siedział w namiocie na drewnianej ławie i z gniewem oskarżał Rzymian o ukrywanie dezerterów. Był zły, bo doszły do niego pogłoski, że Rzymianie chcieli nasłać nań skrytobójcę. Posłowie pożegnali Attylę, który udał się na polowanie i wyruszyli ku stolicy jego, gdzie chcieli prowadzić systematyczne układy. Przybyli obszerną krainę, teraźniejsze Węgry, częściowo łodziami, które wieziono na kołach ze sobą, częściowo konno. Żywili się przeważnie kaszą z prosa, którą zapijali miodem i piwem. Wstąpili do siedziby królowej, której mąż był bratem Attyli, zamordowanym przez niego. W nocy królowa kazała na cześć gości zapalić ogniska z trzciny. By odwdzięczyć się za hojne przyjęcie, ofiarowali jej trzy srebrne kubki, purpurowe tkaniny, suszone owoce i pieprz indyjski.

Stolica Attyli była obozowiskiem, w którem na wzgórzu widniał zdaleka drewniany pałac z wysokiemi basztami. Obok niego były mniejsze pałacyki dla żony i synów. Pałac Attyli ozdobiony był zdumiewającą sztuką ciesielską. Deski nazewnątrz tak przylegały do siebie, że tworzyły jednolitą gładką ścianę. Gmach królowej był pokryty ładnemi płaskorzeźbami i posągami. Dach spoczywał na czworobocznych kolumnach, które tworzyły werandę. W pobliżu była łaźnia, zbudowana na wzór rzymskiej.

Gdy Attyla wstąpił do stolicy, na spotkanie wyruszyła procesja kobiet w dwu szeregach. Trzymając nad głowami ponad ulicą długie płaty białego płótna, utworzyły oryginalny baldachim. Stojący pod nim chór dziewcząt śpiewał pieśni powitalne. Małżonka oczekiwała bohatera przed pałacem z winem i przekąską. Gdy skinął, niewolnicy podnieśli wysoko srebrny stół z puharem; władca, nie schodząc z konia, napił się wina.

Koło pałacu posłowie mogli używać przechadzki, nie krępowani przez straże. Tu Priscus zawarł znajomość z możnym Scytą, który w języku greckim wszczął rozmowę i opowiedział, że Hunnowie podczas napadu na jego krainę pozbawili go mienia i wolności. Jako niewolnik Ogeneza, ulubieńca Attyli, zaprzyjaźnił się z Hunnami i za okazane zasługi został zrównany z nimi w prawach. Jada przy stole swego pana i czuje się lepiej niż w Grecji (Bizancjum), gdzie cesarze są bezsilni, nie mogą obronić poddanych, gnębią ich podatkami, wymyślają niezliczoną ilość niezrozumiałych rozkazów i praw; zatruwa tam życie sprzedajność powszechna i procesowanie się nieskończo-

ne. Priscus udał się z darami do królowej, która siedziała na wspaniałem łożu w komnacie, ozdobionej dywanami, otoczona służbą żeńską, która haftowała złotemi i jedwabnemi nićmi męskie kubraki i płaszcze.

Priscus spotkał Romulusa, wysłańca zachodnio - rzymskiego cesarstwa. Obaj byli zaproszeni na ucztę królewską, która odbyła się w obszernej sali przy ustawionych w postaci koła małych stołach i ławach. Na estradzie siedział Attyla przy osobnym stole. Przy wejściu każdy wchodzący dostawał puhar wina, który spełniał za zdrowie króla. Gdy wszyscy zajęli swe miejsca, Attyla pił zdrowie każdego zkolei, na co zachwycony odpowiadał również wychyleniem kielicha, pozdrawiając króla. Za każdym gościem stał sługa z pełnym puharem. Attyla spożywał potrawy na drewnianym półmisku i miał drewniany kielich. Gościom podawano na srebrze i złocie. Po uczcie słuchano wojowniczych pieśni dwu śpiewaków, którzy wywoływali zachwyt. Następnie zjawili się błaźni. Ich dowcipy i wybryki nagradzano wybuchami śmiechu. Attyla zachowywał powagę, był pogrążony w myślach. Od czasu do czasu głaskał po twarzy najmłodszego synka. Królowa również wydała obiad na cześć ambasadorów. Podczas tego przyjęcia panowała wśród biesiadników wielka swoboda, która zdziwiła Rzymian. Śmiano się głośno, pito dużo, okazywano burzliwie uczucia przyjaźni i sympatji.

Attyla zaprosił posłów po raz drugi na ucztę. Obdarzył ich hojnie i pożegnał przyjaźnie, lecz nie chciał rozmawiać o sprawach, dla których załatwienia przybyli. W drodze powrotnej mogli się przekonać o srogości jego rządów. W pobliżu swej granicy ujrzeli przybitego do krzyża człowieka, którego złapano podczas ucieczki do Rzymian. Nieco dalej wbijano na pal dwu jeńców, którzy byli schwytani przy nieudałej próbie ucieczki."

Podczas napadu na Gallję Attyla nieraz musiał walczyć lub pertraktować z biskupami, którzy byli wybierani przez lud, posiadali jego nieograniczone zaufanie, byli doskonałymi organizatorami, często szli na czele walczących i z okrzykiem „Alleluja" łączyli rozkazy bojowe. Biskup ówczesny bywał sędzią, kierował życiem gospodarczem swej djecezji, tworzył armję.

Hunnowie nie umieli zdobywać obronnych miast, lecz bronili się znakomicie, tworząc z wozów wał niezdobyty. Podczas bitwy na polach Katalońskich w Gallji był moment tak krytyczny dla Attyli, że kazał ułożyć z siodeł olbrzymi stos, by spłonąć na nim, jeśli wrogowie wpadną do obozu.

P. Żukowski.

Wspomnienie o t. zw. rzezi galicyjskiej.

Wśród tylu licznych i podniosłych chwil i momentów w dziejach naszych porozbiorowych, przy rozpamiętywaniu rok rocznie walk narodu polskiego o wolność — rok 1846 dziwne uczynić musi wrażenie. Przejmuje nas swem ponurem wspomnieniem o bratobójczej rzezi, sprowokowanej przez zaborczy rząd austrjacki, nie przebierający w środkach, by uniemożliwić w

zarodku poryw podbitego i sponiewieranego narodu.

Nie dziw, bo główną nutę takiej gry politycznej, pełnej niesłychanej perfidji, było szatańskie zastosowanie zasady o dzieleniu i rządzeniu (Divide et impera!). — Tradycję takich rządów w Austrji rozpoczął i długie lata wiódł książe Metternich, mistrz nad mistrze w przebiegłej dyplomocji, polityk, trzęsący Europą i dyktujący uchwały kongresu wiedeńskiego po klęsce Napoleona. Zabór austrjacki, czyli tak zwana Galicja, został potraktowany jako typowy „Hinterland“, a nawet „Bärenland“, *) ustawicznie upośledzany i wyzyskiwany przez zaborcę. Bogato uposażony przez przyrodę, kraj wpadł w ostateczne zubożenie bez perspektywy podniesienia swego przemysłu, będąc natomiast zasypywany wyrobami przemysłu austrjackiego, czeskiego, węgierskiego i t. d., będąc zmuszany do kupna tychże. Starano się osłabić wpływy szlacheckie na lud, podburzano chłopów przeciwko panom, którzy rzekomo nie chcieli dopuścić do uwłaszczenia ludu i zniesienia pańszczyzny. Szlachtę, czyli dziedziców, obarczono obowiązkiem ściągania rządowych podatków i dostawiania rekrutów ze swoich wiości, co przyczyniło się oczywiście do znienawidzenia jednej warstwy przez drugą, do nienawiści wręcz otwartej między zagrodą chłopską, a dworem pańskim. —

Wszelkiego rodzaju konspiracyjne związki patrjotów prześladowała austryjacka policja zapamiętale, osadzając aresztowanych w straszliwych więzieniach: w tyrolskiej twierdzy Kufsteinie i Spielbergu na Morawach. Mimo srogich represyj, nie brakowało atoli tak dzielnych ludzi, jak bracia Wiśniowscy, Smolka, Dunajewski i wielu innych, a także całej gromady emisarjuszów, działających z ramienia Towarzystwa Demokratycznego oraz Stowarzyszenia Ludu Polskiego, przygotowujących nowe powstanie, ośrodkiem którego miała być wolna podówczas Rzeczpospolita Krakowska.

Zdawało się, że moment był dobrze wybrany. Widząc tedy rozwój spisków patrjotycznych w kraju i nie znając istotnie prawdziwego nastroju ogółu ludności, wyznaczyło Tow. Demokratyczne termin powstania na luty 1846 roku. Obrano przyszły Rząd Narodowy, wodzem naczelnym mianowano Ludwika Mierosławskiego i wydano manifest, który obiecywał uwłaszczenie chłopów na całym obszarze dawnej Rzplitej.

Udało się atoli rządowi pruskiemu uwięzić Mierosławskiego i innych przewódzców ruchu w Poznańskiem, a także słabe wybuchy w kilku okolicach Królestwa Kongresowego stłumili krwawo Moskale; zaś wojska austrjackie zajęły wolne miasto Kraków, aresztując tam, a także i we Lwowie i w całym kraju, szereg osób, podejrzanych o chęć rozpoczęcia powstania. — Lecz szlachta galicyjska poczęła się tu i ówdzie skupiać, co doprowadziło do utarczek z wojskiem, z których np. potyczka pod Gdowem, niedaleko Wieliczki, zakończyła się krwawą masakrą kilkuset dziedziców.

*) Zakamarek, kraina niedzwiedzi.

Aby zdusić w zarodku wybuch powstania w Galicji, chwycił się rząd austrjacki piekielnego środka podburzenia chłopów przeciw szlachcie. Oto urzędnicy austrjaccy po miastach galicyjskich otrzymali rozkazy rządowe, polecające podbechtać chłopów do napadu na dwory, do aresztowania panów i dostawiania ich do cyrkułów, a nawet do mordowania. Starostowie austrjaccy (Bezirkshauptleute) rozesłali zatem na ów wyraźny rozkaz z Wiednia agentów po wsiach w osobach kancelistów i urlopników wojskowych, którzy głosili, że cesarz zniósł pańszczyznę, jeno panowie nie chcą go słuchać i zamierzają przywrócić srogie polskie rządy.

Zbałamucony i ciemny lud wiejski dał się użyć za „ślepy miecz“ i pod wodzą przebranych urzędników, a także niektórych wiernych rządowi wójtów i sołtysów — rzucił się na dwory szlacheckie, paląc je i rabując, mordując właścicieli wśród okropnych męczarni, a w wielu wypadkach żony ich i dzieci. Rozszalały się bandy pijanego chłopstwa szczególnie srogo w powiatach: bocheńskim, tarnowskim, pilźnieńskim, jasielskim, krośnieńskim i innych. Mordy przybierały wręcz zwierzęcy charakter, a z kronik współczesnych i z opowiadań świadków naocznych możemy sobie słabo tylko wyobrazić okropności tych mordów. Do dziś dadzą się słyszeć w małopolskich wioskach jeszcze echa tej okrutnej chwili w postaci takiego np. zdania: „Dobraś była pani i piękna pani, ale pójdź-że z nami“, poczem wiązano delinkwentów między dwiema deskami i piłowano. Jeśli dobry był pan lub pani, rznięto wolniej i delikatniej! W wielu przecież wsiach oszczędzał lud niektórych dziedziców, w wielu wsiach odpierano nawet od dworów pijane bandy, przybyłe z innych wsi; a nawet w wielu miejscowościach ograniczano się do wiązania panów i dostawienia ich do starostw, za co dostawali chłopi jednak mniejszą nagrodę. W Tarnowie np. wyznaczył starosta Breinl nagrodę za „żywego pana“ 5 złotych reńskich i 5 topek soli, zaś za przywiezionego zabitego 10 złr i 10 topek soli. Nic więc dziwnego, że szły wozy za wozami ze zwłokami pomordowanych dziedziców!

Niektóre dwory próbowały się bronić, wierna służba dworska strzelała do atakujących gromad chłopskich; ale po takiej, zwykle słabej obronie, tem zacieklejsza następowała zemsta.

Nie przemogli tej zwierzęcej zawziętości chłopskiej nawet księża, wychodzący naprzeciw rozjuszonych band z Sakramentami, a nawet w kilku wypadkach pomordowano kapłanów i znieważono świętości! — Najstraszniej szalało mrowie chłopskie w Tarnowskiem i Pilznieńskiem, a smutną sławę zdobył tam wójt ze Smarzowy, Jakób Szela, który wiódł gromady uzbrojone w noże, siekiery, widły i kosy na pańskie dwory (O Szeli wspomina w swem „Weselu“ Stanisław Wyspiański, wywołując jego krwawą zjawę, skandującą słowa: „Dajcie, bracia, kubeł wody; ręce myć; gębę myć...“) — dopuszczając się niesłychanych okrucieństw, na których wspomnienie

wzdryga się serce ludzkie. I takiego to zbrodniarza obdarzył później rząd austrjacki medalem złotym, jako „dobrze zasłużonego“, a nawet ofiarował mu znaczne gospodarstwo na Bukowinie, gdzie człowiek ten jednak, dręczony wyrzutami sumienia i odepchnięty od uczciwego społeczeństwa, marnie żywot swój w pijaństwie i poniżeniu zakończył. — —

W ten sposób zginęło z rąk zaślepionego, nieszczęsnego ludu wiejskiego około 2.000 osób, a rzeź ta nosi także nazwę rabacji lub reberacji galicyjskiej. Rząd zacierał ręce z radości, widząc tak łatwym, acz kainowym sposobem zgniecione powstanie polskie; wojska austrjackie otrzymały rozkaz nieprzeszkadzania chłopom i patrzały bezczynnie i biernie na popełniane orgje i okrucieństwa. —

Epizodem znamiennym i charakterystycznym w tej smutnej chwili było tak zwane „powstanie chochołowskie“ górali z Nowotarszczyzny. Gromady gazdów pod wodzą księdza Kmietowicza (rodem z Nowego Sącza) i jego organisty Andrusikiewicza uderzyły na garnizon austrjacki w Nowym Targu i zbierały się na Nowy Sącz, lecz uległy, rozproszone przez wojsko, i rozpierzchły się po swych górskich osiedlach. — Również chłopi w Krakowskiem nie dali się podjudzić do rzezi. —

Po stłumieniu rozruchów położono kres istnieniu wolnej Republiki Krakowskiej, którą wcielono na zasadzie układu, zawartego przez państwa rozbiorowe w Berlinie (6 listopada 1846 r.), do monarchji austro-węgierskiej.

Na takiem tedy tle i pod bezpośredniem wrażeniem okrutnej rzezi galicyjskiej powstał znany żałobny hymn poety lwowskiego, Kornela Ujejskiego, zaczynający się od słów:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...“. Godzi się wspomnieć tu o tej potężnej pieśni, którą śpiewaliśmy powszechnie jako narodowy chorał do ostatnich chwil przed powstaniem dzisiejszej Odrodzonej Polski, pieśni, wywołującej niesamowite dreszcze zgrozy i lęku, a treść której — niestety — niewszystkim później była jasna.

Szczególnie przejmujące są wersety, w których poeta żali się:

O Panie, Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas,
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

Ależ, o Panie, oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz!
Inni szatani byli tam czynni,
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!!!

— — — — — — — — — — — — — —

Po tych strasznych momentach rabacji chłopskiej nastąpiła dziwnem zrządzeniem losów jakoby zemsta i kara za popełnioną winę.

Oto nastał srogi i okrutny przednowek w r. 1846 i okres głodu między

ludem, nie odżywiającym się jeszcze wówczas masowo mało rozpowszechnionemi ziemniakami. Jako małe chłopię słyszałem z ust moich rodziców i kilku starych włościan groźne opowiadania o tym okropnym głodzie, za którym wślad poszedł mór (zaraza cholery), dziesiątkujący całe wsie. Chłopi masowo ginęli z głodu i „morowego powietrza", „zdychali (sic) jako robaki pod płotem", wyludniały się osiedla ludzkie, a gromady łaknących napróżno darły z roli perz, który jedzono narówni z psiemi grzybami i wszelkiem zielskiem! Śmielsi i mniej zrezygnowani udawali się po zboże do szczęśliwych okolic na Podole lub za Wisłę, tworząc karawany furmanek; lecz kupiona za drogie pieniądze żywność stawała się zwyczajnie po drodze łupem zgłodniałych band zbójeckich. — Zmarłych na cholerę grzebano we wspólnych dołach daleko poza wsiami — stąd to do dziś dnia spotyka się w Małopolsce takie mnóstwo „cmentarzy cholerycznych", około których krążą wśród ludności legendy — i które to cmentarze bywają ze strachem i lękiem omijane przez zabobonne kobiety i pasterzy. —

W przepełnionych świątyniach napróżno rozlegały się skomlące błagania o odwrócenie klęski głodu i moru, napróżno lud śpiewał przejmujące suplikacyjne refreny: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!" —

Kapłani zaś gromili z ambon i wskazywali nieszczęśnikom, że są to znaki gniewu Bożego i kary Bożej za pomordowanych braci, za przelaną niewinną bratnią krew...

Warto tu nawiasowo nadmienić, że czasy te okrutne i cierpienia bezdenne, tę srogą niedolę chłopską wyraził przedziwnie i wnikliwie w swej powieści p. t. „Pomór" niedawno zgasły piewca ludu podhalańskiego, ś. p. Władysław Orkan — i do tej też książki odsyłamy ciekawych czytelników „Przeszłości". —

Na zakończenie o tym dziwnym i smutnym w naszych dziejach roku przytoczę krótkie, w dzieciństwie jeszcze słyszane od naocznych świadków a nawet uczestników tego „rabunku" opowiadanie z okolic podkarpackiego miasta Krosna (znanego w XVI wieku „Parva Cracowia"). Otóż w pobliskiej wiosce Polance rzuciły się gromady pijanych chłopów i bab na rabunek dworu tamtejszego (skąd już przedtem zdążyli uciec właściciele oraz ich gość, bawiący tam podówczas sławny poeta W. Pol, który znalazł chwilowe schronienie w podmiejskim dworku niejakiego Kocaya w Krośnie) i, po rozgrabieniu sprzętów i odzieży, dobrały się do piwnic. Wyciągnięto beczki trunków i rozpoczęła się ogólna pijatyka. Dobrano się też do małej beczułki atramentu, lecz dziwny smak i kolor tego nieznanego chłopom płynu pobudził ich do szalonej wesołości. Poczęto się zapamiętale opluwać i oblewać poczciwym inkaustem, smarowano sobie wzajemnie oblicza, ręce i odzież (płótniaki) — a najwięcej zaczernionych nibyto murzynów noszono na rękach i wśród wycia tłumów w górę podrzucano.

Pijane bandy, którym wreszcie za mało było rabunków dworów okolicznych, postanowiły uderzyć na miasto Krosno i tam obrabować szczególnie sklepy miejskie. Przedtem jednakże mieszczanie krośnieńscy zdążyli zorganizować samoobronę. Sto pociech przytem miało być na widok szewców i krawców, maszerujących częstokroć niezdarnie przy odgłosie magistrackiego bębna po rynku i dźwigających z dumą zardzewiałe, wyciągnięte z miejskiego lamusa karabiny. Wytoczono także na główną dojazdową drogę do miasta ogromny, zdala widoczny moździerz (miasto leży na pagórku). Zbliżające się powoli ku miastu gromady chłopów, widząc „straszliwą armatę" ku nim wymierzoną, tudzież szeregi obrońców ze strzelbami, słysząc donośne warczenie bębna, podały tył i w trwodze rozeszły się.

Warto też napomknąć przy tej okazji, że asystująca wonczas w miasteczku kompanja wojska austrjackiego, będąca pod dowództwem oficera Polaka, kapit. Lewickiego, okazała daleko idącą neutralność, a nawet posunęła się w pełnem uzbrojeniu naprzeciw następującym na miasto gromadom, czem właściwie zdecydowała ich odwrót.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdzież tedy należy szukać winy i po czyjej ona leżała stronie? Dlaczegóż tyle nieszczęść przyniosła straszna w swym skutku ówczesna przeraźliwa ciemnota ludu wiejskiego, połączona ze spadkiem wiekowego niewolnictwa i nienawiści przeciw posiadającej warstwie szlacheckiej?

Oto jedynie wskutek łotrowskiej polityki podjudzenia mas chłopskich przez przewrotny i potworny rząd zaborczy, nie gardzący najohydniejszemi nawet środkami!

A jednak od tego nieszczęsnego momentu ulegała stale psychika ludu polskiego ustawicznym zmianom i przeobrażeniom — a chociaż w r. 1863 jeszcze część ludu dała się zbałmucić moskiewskim siepaczom i prześladowała powstańców „poloków", przecież późniejsze pokolenia ludu dowiodły w latach 1905-6, tudzież w dziejach naszych armij ochotniczych czasu wojny światowej i podczas naszej rozprawy z bolszewikami, najeźdźcą w r. 1920, że na kościuszkowskich sztandarach wypisane hasła „Żywią i bronią" — stały się prawdziewem proroctwem, wiernym i cennym klejnotem.

Dzisiejszy lud polski — miejmy nadzieję niezłomną — nie da ucha hasłom przewrotowym, nie pójdzie zaślepiony na lep „Ex oriente lux", nie da się wieźć na pasku agitacji, szerzonej przez zbrodnicze czynniki i organizacje komunistyczne, subsydjowane przez rząd bolszewicki. Polska ludowa ma przed oczyma okropny los rosyjskiego ludu, strąconego przez szatańską iście wściekłość doktrynerów w otchłań potwornej, beznadziejnej nędzy i ostatecznego sponiewierania i zhańbienia godności ludzkiej.

Bolesław Szurmiak

W klasztorze niemieckim X w. *)

Była jesień. Tankmar pracował w komnacie przepisywaczy ksiąg. Wygładzał pergamin, usuwając wszelkie chropowatości, by uczynić go zdatnym do pisania. Za pulpitami przy oknach pracowali przepisywacze. Niektóre pióra głośno skrzypiały i piszczały. Stary mnich nagle przestał pisać, kazał chłopcu pójść do ptasznika i przynieść nowe pióro. Gdy je otrzymał, napisał kilka wierszy, poczem westchnął i głośno powiedział: „Amen! Ukończyłem swą księgę. Jest to już trzydzieste dzieło w mem życiu. Chwała na Wysokościach Panu!" Wszyscy przestali pisać i patrzyli na klęczącego starca. Gdy podniósł się, podeszli i oglądali tę trzydziestą księgę. Tankmar ujrzał szeregi prześlicznych mniejszych i większych liter, czarnych, czerwonych i złotych. Niektóre były otoczone kółkami i łukami, spowite kwiatami i gałązkami. „To już ostatnia moja praca" — usłyszano cichy głos starca. „Dlaczego? Czy chcesz nas opuścić i osiedlić się samotnie w zaciszu leśnem?" - „Nie chcę was opuścić, lecz czuję, że chwila rozłąki nadchodzi". Patrzyli na mówiącego ze zdumieniem, nie rozumiejąc. „Tej nocy zbudziła mnie burza. Wyszedłem na podwórze i ujrzałem tam św. Jerzego. Skinął na mnie, ukazał na daleki widnokrąg, zaróżowiony łuną pożarów, i zniknął. Nie wiem, co to miało znaczyć. Co myślicie o tem, bracia?" Wszyscy milczeli. W tej chwili nagle zagrzmiał głośno i trwożnie róg odźwiernego. Lęk przejął braci. W pośpiechu opuścili komnatę, by się dowiedzieć, co zaszło. Przed bramą na spienionym koniu stał znużony galopem rycerz i opowiadał braciszkom i strażnikom, że do kraju wpadła dzicz węgierska. Twarze wszystkich pobladły, źrenice rozszerzyły się z przerażenia. „Co? Węgrzy? To djabelskie plemię?! Boże, zmiłuj się nad nami!" Mówiąc to, żegnali się w trwodze. Nadszedł opat i zapytał, skąd przybywa ów herold nieszczęścia. „Tam na skale za rzeką widzicie zamek. Przybywam stamtąd. Jestem wysłańcem waszego obrońcy, który, niestety, odjechał na wojnę i walczy przy boku króla." „Iluż was zostało w zamku", — rzucił pytanie opat. — „Tylko dwudziestu zbrojnych." Słuchano tych słów z przerażeniem. Kto obroni krainę. Co się stanie z ludnością wiejską i bracią? Opat przerwał dławiące milczenie i rzekł mocnym głosem: „Bracia! Sami będziemy walczyli z synami szatana". Po chwili milczenia ozwał się piwniczy: „Precz z lękiem! Ja się niczego nie boję. Djabły te są w kraju, lecz to nie znaczy, że zawitają do nas." „Ja też się nie lękam" — dodał kuchmistrz. — „My wogóle nie jesteśmy tchórzami. Św. Jerzy ukarze Węgrów ślepotą, gdyby ważyli rzucić się na nasz klasztor." Dzielny, poważny kowal oświadczył głosem rozkazującym: „Dość już tej gadaniny. Chodźmy do zbrojowni oczyścić miecze z rdzy." Jeździec wskazał dzidą daleki łuk, który zataczała rzeka na wschodzie i powiedział: „Pobożni ojcowie! wróg jest blisko. W nocy widzieliśmy tam łunę." „Boże wszechmogący", jęknął stary Gerhard. „Ot, co mi zwiastował dzisiejszej nocy św. Jerzy. Biada nam." Wszyscy zapatrzeni byli w ciemne chmurzyska, które nadciągały ze wschodu, jak złowróżbne ptactwo. Opat przerwał ten ponury nastrój słowami: „Chodźmy do sali na naradę. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Wśród przygnębionego tłumu w habitach był jeden, któremu serce biło radośnie. Był niegdyś hrabią, dzielnym wojownikiem, walczył niejednokrotnie z Węgrami. Gdy jednak porwali mu żonę i troje dzieci oraz obrabowali i puścili z dymem zamek, wyrzekł się świata i wstąpił do klasztoru. Jakże się cieszył, że będzie mógł dać się we znaki dawnemu zaciekłemu wrogowi! W oczach miał okrutne błyski, ręka kurczowo chwytała habit w tem miejscu, gdzie dawniej wisiał miecz.

— —

W głębi lasu, niezbyt daleko od doliny, stała chatka pustelnika. Prawie codziennie przynosili mu chłopi soli, chleba, tłuszczu i prosili wzamian o parę modlitw. Wieczorami pustelnik często udawał się na nagi szczyt gory, siadał na głazie i rozglądał się w dalekich przestworzach. Widział też całkiem wyraźnie wieżę klasztoru św. Jerzego. Za młodu i on przebywał w tym klasztorze, lecz pewnego dnia zrozumiał, że działo się tam niedobrze:

*) Patrz Nr. 3.

kuchmistrz przyrządzał zbyt smaczne potrawy, wino było w zbyt dobrym gatunku, praca w kuźni sprawiała mu zbyt wiele przyjemności. Zapragnął niedostatku i samotności i zamieszkał w lesie. Przywiązanie jednak do owych murów nie wygasło, modlił się często za pomyślność braci. Gdy ujrzał zalane czerwienią niebiosa, pomyślał: „Ależ to wojna. Synowie tego świata stoją naprzeciw siebie z nienawiścią w sercach. Trzeciego wieczora ujrzał klasztor w dymach i płomieniach. Nazajutrz naprożno szukał oczyma wieży. „To dzieło pogan, — krzyknął z gniewem. — Żaden chrześcijanin nie podpali domu Bożego". Od kilku dni żaden wieśniak nie przybywał do niego. „Chłopi uciekli" — domyślał się. — „Lecz dokąd? Do lasu? A może do zamku starosty? Boże niech się stanie Wola Twoja!" Gdy w parę dni potem wrócił jak zwykle o zmroku do swej celi, ujrzał ze zdumieniem jakiegoś chłopaka, który spał na jego sienniku, na podłodze. Chłopiec miał szaty klasztorne. Staruszek stłumił ciekawość i nie zbudził śpiącego. Sam położył się na ławie i oparł głowę o koniec krucyfiksu, wiszącego na ścianie. Dopiero koło południa chłopak się zbudził. Był to Tankmar. Starzec częstował go orzechami, stwardniałym chlebem i wodą. Głodny zbieg wszystko połykał z chciwością. Gdy usłyszał szmer kropli, spadających z drzew, zaczął przysłuchiwać się trwożliwie. „Czy to nie Węgrzy nadchodzą" — zapytał drżącym głosem. „Więc to oni znów wpadli do naszego kraju!" — zawołał starzec i zrobił znak krzyża. — „To oni spalili klasztor! Co się stało z braćmi?" — Ukryliśmy się wszyscy w zamku starosty. Klasztor spalono bez nas. Przyglądaliśmy się pożodze zdaleka, klęcząc przed krzyżem kamiennym. Nie mogłem wytrzymać, wymknąłem się i ruszyłem z powrotem tą ścieżką, którą przybyliśmy. Po godzinie byłem na wzgórzu w pobliżu klasztoru. Wdrapałem się na drzewo i całą noc patrzyłem na płomienie, pożerające nasze gmachy. Wczesnym rankiem ujrzałem, dzieci szatana, Węgrów, opuszczających pogorzelisko. Mnóstwo jeźdźców mknęło z góry w dolinę jak stado kruków. Wpadli do wsi, po chwili ogień buchnął jednocześnie z trzech chat. Raptem usłyszałem trzask gałęzi i parskanie koni. O biada, przez las przedzierał się oddział tych zbójów. Już byli koło mego drzewa. Przyjrzałem się im zbliska. Na plecy spadały czarne lśniące włosy. Twarze szerokie i żółtawe. Na czole i policzkach szerokie blizny wzdłuż i poprzek, umyślnie dla ozdoby zrobione. Oczy — dwie szparki ukośne. Siedziałem zdrętwiały na swym buku. — Wkrótce usłyszałem jęki mordowanych. To oni walczyli z naszymi. Nad ścinającemi krew w żyłach krzykami ofiar górowało radosne wycie morderców. O, jakbym chciał być mężem zbrojnym, mieć licznych wojowników i wpaść na karki tych potworów! Pozostawali na zamku niezbyt długo. Wracali tą samą drogą, głośno gwarząc. Byli obładowani ornatami, lichtarzami i naczyniami kościelnemi. Oczy przetarłem ze zdumienia, gdy ujrzałem wśród nich sługę naszego, który zbierał daniny od chłopów. Zrozumiałem, że to on pokazał, gdzie był ukryty skarb klasztorny. Łotr jechał na mym koniu. Krew buchnęła mi do głowy. Krzyknąłem: „Zdrajca!" Na szczęście wśród gwaru nikt nie usłyszał. Inaczej zginąłbym od pogańskich strzał, pod ciosami krzywych szabel". „Biedne dusze!" — jęknął starzec. „Klęknijmy przed krucyfiksem, pomódlmy się za dusze pomordowanych braci, podziękujmy za twe zbawienie". Pustelnik modlił się żarliwie i długo, aż noc ogarnęła ziemię. Gdy skończył, ujrzał, że wyczerpany chłopiec leży u stóp jego we śnie głębokim. Nazajutrz chłopiec czuł się tak odświeżonym, że zamierzał wyruszyć do domu, lecz pustelnik oświadczył, że nie puści go, aż się przekonają, że Węgrów już niema. Gdy weszli na szczyt góry zapadał już mrok. Nigdzie na widnokręgu nie było łuny. „Patrz, to jest najkrótsza droga do zamku starosty" — rzekł starzec, pokazując ręką, lecz Tankmar się odwrócił i przecząco kiwał głową. „Nie mój ojcze, pójdę do ojca, nad Łabę". „Jakto nie wrócisz do braci? Wszak oni odbudują klasztor! Św. Jerzy ukarze cię chorobą za ucieczkę" - wołał ze zgorszeniem starzec. „Życie me w klasztorze było gorsze od choroby. Nie wrócę!" Pustelnik cofnął się ze zgrozą. „Czy widzę przed sobą pomiot z piekła. O, bezbożna istoto! Pomyśl, co cię czeka na sądzie ostatecznym?" Chłopiec zaczął drżeć. Już słyszał trąby archaniołów, widział niebiosa rozwarte i Syna Bożego, zstępującego na obłokach, by zasiąść na tronie Sędziego.

Już trzyma wagi w ręce. Wszyscy ludzie żyjący i z grobów powstali, mnóstwo nieprzeliczone stoi przed Nim, a On kładzie na szali ich czyny dobre i złe. „Twe występki przeważają, Tankmarze. Miejsce twe w otchłani zatracenia!“ O, nie. Tak być nie może. On się poprawi i stanie się godnym zbawienia. Lecz wrócić do klasztoru — znaczy nigdy nie ujrzeć domu rodzinnego! Co począć? Siły go opuściły. Opuścił się na głaz. Był całkiem złamany. Pustelnik postanowił doprowadzić do końca dzieło zbawienia zbłąkanej duszy. Poszedł z chłopcem ścieżyną leśną i pytał: „Nie długo jeszcze będzie istniał ten świat“ — rozlegały się jego groźne słowa. „Czy wiesz, jaką liczbą oznaczyli ten rok w swych kronikach bracia od św. Jerzego?“ „Rok Pański 938“ — była ledwo słyszana odpowiedź. „Więc sam potrafisz zliczyć, ile lat pozostaje do r. 1000?“ — „62, ojcze świątobliwy“. „Tak. Tylko 62! A potem koniec wszystkiego. Ty możesz dojrzeć i ujrzeć własnemi oczyma Chrystusa, zstępującego z Niebios. Masz jeszcze czas, przygotuj swą duszę do tej chwili. Będę co noc modlił się o twe zbawienie“. Serce chłopca biło coraz gwałtowniej w miarę tego, jak zagłębiali się w mroczny las. Wreszcie nie wytrzymał i szepnął: „Ojcze. Musi tak być. Wracam jutro do św. Jerzego“. Mnich westchnął z ulgą. „Ślubuj mi chłopcze, że zawsze spełnisz to, czego zażąda od ciebie św. Jerzy“. Wśród czarnych wysokich pni rozległy się w mroku słowa dziecięcej przysięgi.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Zmęczony całodzienną podróżą Tankmar dotarł do klasztoru. Jak odmiennym był widok! Ani wsi, ani chłopów w dolinie! Nie poraz pierwszy już cała ludność zbroiła się w obronie przed dziczą najezdniczą. „Święty Jerzy, pozwól mi, gdy urosnę, włożyć zbroję i wystąpić przeciwko niewiernym w obronie świątyń i braci!“ gorąco błagał Tankmar.

Żaden z gmachów klasztornych nie ocalał. Między zwęglonemi drzewami ogrodu widniały rumowiska i kupy popiołu. Tankmar nie mógł uwierzyć, że wszystko było zburzone. Ogarnęła go taka niemoc, że przytulił się do ocembrowania studni i powiódł gasnącem spojrzeniem po miejscu, gdzie był kościół, a teraz leżały czarne zwały okopconych fundamentów, i zapadł w sen. Ujrzał we śnie, jak wszystkie popioły nad pogorzeliskiem uniosły się do góry i buchnęły płomieniem, poczem zjawił się anioł, podszedł do przerażonego chłopca i dotykając jego ramiona mieczem, rzekł: „Jam jest św. Jerzy! Błogosławię cię tym mieczem. Niech poganie zostaną przez ciebie ukarani za to, co mi wyrządzili“. „Niestety“, odezwał się ze smutkiem chłopiec, „jestem poświęcony Bogu, nie mogę używać miecza“. „Nadeszły czasy, gdy wojownik jest potrzebniejszy od mnicha. Nie ostaną się klasztory, jeśli zabraknie zbrojnych do ich obrony. Musisz zdobyć konia i pędzić do domu dzień i noc. Twój brat, Harinzan czeka na ciebie. Będziesz takim samym rycerzem jak on. Będziesz niszczył pogan“. Święty mówił to grzmiącym głosem. Serce chłopca biło gwałtownie od szczęścia. Zbudził się. Piękna zjawa zniknęła. Tankmar skoczył na równe nogi, podniósł wzrok ku olbrzymim gwiaździstym niebiosom i w radosnem uniesieniu zawołał: „Uczynię, co rozkazałeś. Od tej chwili Węgrzy i inni poganie są mymi wrogami. Będę się z całych sił starał, by już nie łupili naszego kraju, nie rujnowali świątyń“. Zaczął rozmyślać nad tem, jakże ma jechać, skoro podły zdrajca klasztorny zabrał mu konia. Wtem usłyszł odgłos kroków i ujrzał za drzewami nadjeżdżającego na jego właśnie koniu Janka, który w klasztorze pilnował gęsi. Powitanie było radosne. Konia swego też czule popieścił. „Nasi pobili Węgrów pod Wasserburgiem. Gdy rozbita banda znalazła się koło zamku starosty, napadliśmy na nią, mnichów też nie brakło. Pędziliśmy dzicz przez las, z którego wpadło na nich stu chłopów z cepami i maczugami. Drogo zapłacili Węgrzy za swe zbrodnie. Z największą zaciekłością młócili chłopi naszego zdrajcę Ludwika, który jechał na twym koniu. Oto masz tego poczciwego wierzchowca. Bracia, którzy zostali przy życiu, zaraz nadejdą. Oni błogosławią cię na daleką podróż“. Tankmar nie chciał czekać. Dosiadł konia, podał pastuszkowi rękę i ruszył tą samą drogą, którą jako dzieciak przybył przed laty z ojcem. *D. C. N.*